

PAUL HEYSE

PIĘKNA ABIGAIL



- To, o czym chcę państwu opowiedzieć, przydarzyło się dosyć dawno, ponad dziesięć lat temu, ale ilekroć o tym wspomnę, wszystko tak dokładnie staje mi znów przed oczyma, jak gdyby to działo się wczoraj, i ogarnia mnie nawet przerażenie takie samo jak owej niezwykłej nocy.

Mówię o tym na początku dlatego, aby państwo nie podejrzewali, że opowiadam jakiś nic nie znaczący sen. Sny są ułuda, a to, co wówczas przeżyłem... ale przejdę do rzeczy nie przedłużając wstępu.

Było to w pełni lata roku 1880. Postarałem się o cztery tygodnie urlopu, bo zaczęły mnie właśnie nieznośnie nękać reumatyczne dolegliwości. Wildbad, w którym pokładałem wiele nadziei, czynił cuda. Po trzech tygodniach czułem się już jak nowo narodzony, ponieważ jednak upały w tamtejszej dolinie niezbyt mi służyły, lekarz zdrojowy po dwudziestu jeden kąpielach zwolnił mnie z dalszych, doradzając spędzenie reszty urlopu w chłodniejszej okolicy, naturalnie przy zachowaniu wszelkiej ostrożności, by nie spowodować nawrotu choroby.

W B. miałem przyjaciela z lat młodości, którego nie widziałem od nastania pokoju. Po wojnie, a przeżył ją jako lekarz pułkowy właśnie w mojej kompanii, objął tu w swoim mieście rodzinne kierownictwo szpitala, ożenił się, a nic naszej dawnej przyjaźni podtrzymywał tylko w ten sposób, że przysyłał mi zawiadomienia o narodzinach swoich pięciorga czy sześciorga dzieci.

Przybywszy zatem nieoczekiwanie do B., z tym większą ulgą znalazłem mego dobrego przyjaciela równie serdecznym, jak wówczas, gdy żegnałem go opuszczając szpital, by ewakuować się do Moguncji.

Musiałem pozostać u niego na obiedzie - jedyna pora dnia, wypominała przyjacielowi jego małżonka, w której przestaje on być własnością pierwszego lepszego pacjenta i należy wyłącznie do rodziny - a ponieważ najbliższe godziny znów zajmowała mu prywatna praktyka lekarska w mieście, ustaliliśmy, że będę oczekiwał go wieczorem we wskazanej mi winiarni.

Moje samotne popołudnie upłynęło dosyć szybko. Prócz przyjaciela z czasów wojny nie znałem właściwie żywej duszy w tym pięknym, starym mieście, o które jako podchorąży kiedyś, przed wielu laty, przelotnie zawadziłem. Było tu wszędzie tyle zakątków godnych obejrzenia, miałem ogromną ochotę niejedno paroma kreskami utrwalić w szkicowniku, a że i przyjemnie pochlodziło po porannej burzy, zrezygnowałem z teatru (letnia scena dosyć wątpliwej jakości), wolałem bowiem czas pozostały mi do umówionego spotkania wypełnić spacerem w wieczornej ciszy wzdłuż gęsto obsadzonego drzewami brzegu rzeki.

Tak przy tym zagłębiłem się w myślach, że o powrocie do miasta pomyślałem dopiero wtedy, gdy zapadła noc. Co prawda noc do spaceru równie miła, jak dzień; księżyc wzeszedł i świecił nad wierzchołkami olch już prawie pełnym blaskiem, tak rozjaśniając okolicę, że na płycznach przy brzegu widać było przez fale kamyki połyskujące na dnie niby srebrzyste kulki.

Miasto też, w drodze powrotnej, ukazało się moim oczom zasnutę srebrną mgłą, jak gdyby nagle przeniesione tu z bajki. Zegar na starej katedrze wybił dziewiątą. Uważałem, że zmęczonemu i spragnionemu po długim spacerze należy się w pełni wytchnienie w winiarni, do której drogę wskazał mi jakiś uprzejmy przechodzień.

Nie zastawszy tam jeszcze przyjaciela, zamówiłem coś do jedzenia i dla ugaszenia pragnienia lampkę lekkiego wina.

Doktor nadal kazał na siebie czekać; ponieważ jednak lada chwila powinien nadejść, z góry zamówiłem mocnego raentalera, o którym wspominał mi przy obiedzie, aby gdy tylko wejdzie, wnieść na jego powitanie toast tym szlachetnym trunkiem. A trunek był rzeczywi-

ście rozkoszny, godny, by nim podlać kwiat starej przyjaźni. Zamiar minął się z celem. Około dziesiątej, zamiast dobrego towarzysza broni, zjawił się posłaniec z listem, w którym przyjaciel prosił o usprawiedliwienie jego nieobecności, został wezwany poza miasto do ciężko chorego pacjenta i nie mógł przewidzieć, czy tej nocy w ogóle stamtąd powróci.

W taki sposób oto zostałem zdany na siebie i wino, które niestety nie nastrajało mnie wesoło, gdy nie piłem go w miłym towarzystwie. Odkąd odumarła mnie żona, wówczas był to już trzeci rok od tej daty, zawsze przy samotnie opróżnianej butelce ogarniała mnie melancholia, na której rozmyślne podsycanie nie byłem już dostatecznie młody i sentymentalny. Aby i tym razem nie pozwolić, by mną zawładnęła, sięgnąłem po gazety, a miałem je prawie wszystkie do dyspozycji, bowiem nieliczni stali bywalcy lokalu siedzieli przy swoich stolikach pochłonięci grą w skata lub w szachy.

Pierwsze, co wpadło mi w oko, to zamieszczona na ostatniej stronie miejscowej gazety lista tego, co godne obejrzenia w mieście. Zamierzałem pozostać tu jeszcze przez cały jutrzejszy dzień, przeto wskazówki te przyszły mi w samą porę, wypisałem więc sobie w notesie niektóre, szczególnie interesujące. Nagle spostrzegłem ogłoszenie, którego treść w jednej chwili kazała mi cofnąć się myślą do dosyć odległego czasu: „W każdy poniedziałek i czwartek czynna jest bezpłatnie w podziemiach ratusza Windhamowska galeria obrazów”.

Windham! Tak, nie myliłem się, to było to nazwisko. Wszak Windham odegrał główną rolę w ostatnim rozdziale mego młodzieńczego romansu. Sięgnąwszy pamięcią wstecz, przypomniałem sobie, że później jeszcze doszła mnie wieść, jakoby ów Windham osiadł na stałe tu w B., wraz ze swą młodą żoną. Od tamtego czasu nic o nim nie słyszałem. Aż oto teraz, w tym miejscu, tak nagle zostałem niejako zmuszony, by znów sobie o nim przypomnieć.

Państwo nie rozumieją być może, co mnie tak poruszyło w tej niepozornej wzmiance gazetowej. Muszę zatem cofnąć się dalej w moim opowiadaniu.

Wiadomo państwu, iż jako potomek dolnofrankońskiej rodziny o tradycjach wojskowych odebrałem wychowanie w korpusie kadetów w Monachium, gdzie na rok przed wybuchem wojny z Francją doszedłem do stopnia porucznika. Miałem dwadzieścia dziewięć lat i poza zawodem żołnierza, któremu byłem całą duszą oddany, właściwie niewiele życia zaznałem. Szalenie wzniosła miłość, którą przeżyłem jako podchorąży, zakończyła się głupio; ustrzegła mnie ona wprawdzie od różnych wybryków popełnianych przez moich równolatków, ale też ukazała mi płęć piękną w nie najlepszym świetle. Mimo to nie stałem się wrogiem kobiet, a ponieważ byłem zapalonym tancerzem, jeszcze w akademii wojskowej, karnawał roku 70. spędziłem jako jeden z największych lekkoduchów, nie opaliwszy sobie przy tym skrzydeł.

Aż wreszcie wybiła i moja godzina.

Około połowy lutego zjawiła się na jednym z publicznych balów młoda, urzekająca piękność, która zaćmiła wszystkie dotychczas wybierane królowe balów.

Minął właśnie rok od śmierci jej ojca, przybyła więc wraz z matką z Austrii, by po okresie żałoby skorzystać jeszcze nieco z zimowych zabaw. Jej postać, maniery, sposób wysławiania się, wszystko to miało jakiś cudzoziemski wdzięk, który tłumaczyła choćby osobliwa mieszanina krwi płynącej w jej żyłach. Matka, rosła, rudowłosa Szkotka, kobieta o surowych, purytańskich obyczajach i powolnych, niezgrabnych ruchach, poślubiła styryjskiego szlachcica, który bawiąc w podróży po jej rodzinnym, górzystym kraju, zakochał się w młodej dziewczynie. Po ślubie, towarzysząc mężowi, przeniósł się do jego posiadłości ziemskiej, lecz nie umiała się tam zaaklimatyzować. Mimo to wydawało się, że jej związek z wiedzącym, jak używać życia małżonkiem katolikiem był szczęśliwy, i wyruszając z córką w podróż, ciągle jeszcze nie mogła się pogodzić z jego śmiercią.

Dwudziestoparoletnia podówczas córka widziała świata tyle, ile mogła zobaczyć w promieniu dziesięciu mil od swego wiejskiego dworu. Ojciec nie należał z pewnością do największych skrupulantów na punkcie wierności małżeńskiej i każdego roku spędzał wiele

miesiący w Wiedniu, ale umiał skutecznie trzymać małżonkę z dala od powabów wielkiego miasta, a córkę strzec od wszelkich kontaktów towarzyskich z młodymi mężczyznami. W istocie nie było to nawet potrzebne, bowiem chłodne temperamenty tych pań były im wystarczającą ochroną.

Pod tym względem Abigail (takie imię, zgodnie z dawną tradycją w rodzinie matki, nadano dziewczynie na chrzcie) była nieodrodną córką swej matki, poza tym zewnętrznie wcale do niej niepodobna, nawet z koloru włosów, które u córki nie miały ani trochę rudego połysku.

Nie będę próbował opisywać państwu tej uroczej, młodej osoby. Powiem tylko, że zaraz przy pierwszym spotkaniu zwróciły moją uwagę dwie rzeczy, które prześladowały mnie nawet w nocy: dziwnie pozbawione blasku spojrzenie jej dużych, szarych oczu, które, nawet gdy się uśmiechała, pozostawały zawsze poważne, jak również i to, że miała ręce najpiękniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Wbrew ówczesnemu zwyczajowi była w sukni bez rękawów (miała jedynie wąskie ramiączka z krepy na wspaniałych ramionach), co panie, szczególnie matki, uważały za skandaliczne, mimo iż moda wiedeńska uznawała taki strój, sama panna zaś, jej sposób wysławiania się i maniery były nad wyraz skromne. Ramiona miała jednak nadto piękne, by nie wzbudzać sensacji i nie wywoływać tyleż zazdrości, ile podziwu; o barwie białego, jak gdyby nieco żółkłego atlasu z matowym połyskiem, a w zgięciu łokci delikatne, niebieskie żyłki. Nawe małe, jasne blizny na lewym przedramieniu, ślad po skaryfikatorze lekarza, który szczepił jej ospę, przydawały jej swoistego wdzięku: sprawiały wrażenie śladów wytrawionych na gładkiej skórze rozmyślnie dla kokieterii, aby podkreślić jej szlachetną doskonałość.

Tak więc ręce (kiedy przy kolacji ściągała rękawiczki), przepiękne stopy w białych, jedwabnych pantofelkach, proporcje i gibkość ciała zawdzięczała austriackiej błękitnej krwi, a nie rasie szkockich górali.

Od pierwszego spojrzenia na tę wspaniałą istotę byłem pod urokiem jej obcych, chłodnych oczu. Tak jak nigdy nie odczuwałem najmniejszego skrępowania wobec najpiękniejszych nawet kobiet, tak teraz serce biło mi gwałtownie, słowa się plątały, kiedy, przedstawiony jej, prosiłem o taniec...

Nieprędko też odzyskałem panowanie nad sobą, gdy wirując z nią w wielkiej sali, wściekałem się na siebie, że tak niefortunnie wypadłem. Bez przerwy myślałem: przecież nie jest to kobieta taka jak inne. Bogini! Nic dziwnego, że tak chłodno spoglądała na tę nędzną cizbę. Czyż do pomyślenia jest, że można by pocałować takie usta? A śmiertelnik, któremu oplotłyby się wokół szyi te ramiona, czyż nie musiałby postradać zmysłów i z nadludzkiego szczęścia spalić się na garść popiołu?

Widzą państwo zatem, że było to prawdziwe oczarowanie. Dane mi było na sobie doświadczyć tego, co określa się mianem porażenia miłością od pierwszego wejrzenia.

Mimo to potrafiłem po niedługim czasie zdobyć się na tyle hartu ducha, by nie uchylając dobrym manierom, poddać się swemu losowi i od pierwszego wieczoru grać tylko rolę rycerskiego adoratora i nie folgować chęci okazywania swych zachwyty tak przesadnie, jak czyniła to większość moich kolegów. Powściągliwość okazała się dla mnie znacznie korzystniejsza, niż gdybym zaćmił wszystkich urodą i miłym obejściem. Dziwna ta dziewczyna - mimo iż bale owej zimy były jej pierwszymi balami - przyjmowała pochlebstwa, a zwłaszcza komplementy tancerzy, z miną tak chłodną, jak gdyby w tańcu zależało jej wyłącznie na tym, by się poruszać; młodych, próżnych panów, tak pięknie wystrojonych i ufryzowanych, tolerowała jedynie na tyle, na ile pomagali jej w osiągnięciu tego celu.

Całkiem niewinnie wyznała mi zresztą, gdy rozmawialiśmy przy kolacji, że fakt, iż gapią się na nią dla jej urody i przymilają, jest dla niej raczej czymś kłopotliwym i nudnym. Nie dostrzegłem u niej ani odrobiny kokieterii, raczej skłonność do ironizowania i okazywania ludziom pogardy, co niewątpliwie u istoty tak uroczej byłoby odpychające, lecz u panny

Abigail wydawało się jakimś niezwykle klejnotem, czymś w rodzaju stalowego pasa najeżonego kolcami, opiętego wokół jej gibkiej kibici.

Nie powiedziałem jej ani jednego komplementu, i pewnie dlatego jeszcze tego wieczoru zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi; otrzymałem nawet od matki pozwolenie na odwiedzenie pań w ich domu.

Jak się państwo mogą domyślić, skorzystałem z tego już następnego dnia; musiałem przecież zapytać, jak czuły się po balu. Zostałem panie w apartamencie urządzonym tak wykwintnie, że uświadomiłem sobie, iż żyją one w nader dostatnich warunkach. Matka nie ukrywała wszelako, że przybyła tu jedynie po to, by znaleźć dla córki męża, na co w leżącej na ustroniu posiadłości ziemskiej nie było widoków. Panna słuchała wszystkich na ten temat wypowiedzanych myśli z najwyższą obojętnością, jak gdyby chodziło nie o nią, lecz o chwilowy kaprys matki, który zapewne rychło jej przejdzie.

W dalszym ciągu nie tylko darzyła mnie zaufaniem, które tak szybko sobie u niej zaskarbiłem, ale nawet dawała mi coraz to nowe dowody; że towarzystwo moje było jej miłe, zaś sposób widzenia świata i ludzi - słuszny. Opowiedziała mi całe swoje życie, które, prawdę mówiąc, nie przypominało romansu. Nigdy jeszcze dotąd nie była zakochana i wręcz nie umiała sobie wyobrazić takiego stanu serca. Kochała jednego tylko człowieka - ojca. Z matką nie rozumiały się pod żadnym względem, zaś wszystkie obowiązki córki spełniała niejako mechanicznie, w najmniejszym nawet stopniu nie powodowana uczuciem. Kiedyś powiedziała mi: „Tak, być może, tak jest, jak pan mówi, że nie mam moralnego, dziewczęcego serca, ale jednak...”

To powiedziawszy, przymknęła oczy, odchyliła do tyłu swą piękną, jasną głowę, a na jej w półrozchylonych ustach pojawił się po trosze bolesny, po trosze dziki wyraz pragnienia i pożądania. Wszystkim tym poufałościom daleko było do tego, by wbijać mnie w dumę i budzić we mnie śmiałe nadzieje.

Nieomal każdy wieczór spędzałem jednak w towarzystwie obu pań, po części - jak długo trwał karnawał - na oficjalnych balach, gdzie uchodziłem już za nieodłącznego kawalera i faworyzowanego adoratora, po części w ich przytulnym salonie jako jedyny przyjaciel domu płci męskiej. Od czasu do czasu zjawiała się tam pewna starsza dama, znajoma matki z Austrii, na partyjkę taroka, czemu Abigail kibicowała. Nie ukrywała znudzenia, jak nie miała w ogóle zwyczaju ukrywać swoich doznań.

A jednak był w jej naturze jakiś zagadkowy, mroczny plan, który przeziarał skądś z głębi w godzinach słabości i za każdym razem przejmował mnie niesamowitym dreszczem.

Mój stosunek do rozpieszczonej dziewczyny był przez wszystkie te tygodnie i miesiące tak szczery, że nawet nie winiłem jej za to niezbyt pochlebne wrażenie.

Kiedyś, patrząc gdzieś poza mnie nieruchomym wzrokiem, powiedziała: „Wiem, co pan myśli. Jest we mnie coś, czego sama się lękam, a czego nie potrafię bliżej określić. Może przecucie, że nigdy się nie dowiem, co to jest szczęście, a pewnie i to, że dawanie szczęścia innym nie stanie się moim udziałem, nie z własnej winy, w głębi mej istoty buntuję się przeciwko temu i zastanawiam, jak by się za to upośledzenie zemścić. Czy wie pan, jak widzę samą siebie? Jako sople lodu, który patrząc na wesoło pełgający płomień, wstydzi się, że ciągle jest tak niewzruszenie zimny, przysuwa się więc bliżej ognia, ale nie osiąga nic ponad to, że całkiem się roztopia. Wiem, porównanie to kuleje na obie nogi, ale jest w tym coś, i pan zapewne również wie, co miałam na myśli, mówiąc o płomieniu”.

Zaraz potem uśmiechnęła się i zaczęła w drwiącym tonie opowiadać o pewnych młodych damach, które poznała, a które na bieżąco informowały zawsze przyjaciółki o stanach swych tkliwych serc.

Porównanie rzeczywiście kulało. Płomyk nie migotał bowiem tak radośnie, jak powinien się palić płomień prawdziwej miłości, lecz przejawiał w swym rytmie okresy chłodu, aż po próby zupełnego wygaśnięcia. Z całą siłą wybuchał tylko wtedy, gdy znajdowałem się z tą

wspaniałą młodą istotą sam na sam, lub gdy w rozjarzonej światłami sali jawiła się przede mną cała jej piękność.

Kiedy traciłem ją z oczu, to bynajmniej nie z pamięci, wtedy dopiero rzeczywiście o niej myślałem, aczkolwiek zwykle z niewytłumaczoną niechęcią, bo przecież nic konkretnego nie mogłem jej zarzucić.

Czyż grzechem było mnie nie kochać, albo w ogóle nie odczuwać jeszcze najmniejszego choćby tchnienia miłości? A ów mroczny plan, który jej samej wydawał się niesamowity, mógł przecież pewnego dnia okazać się zupełnie niewinnym tłem, od którego tym barwniej i wdzięczniej odcinałyby się wszystkie jasne radości.

Jedno wszakże było pewne: pragnąłbym, aby nigdy nie było mi dane poznać tej pięknej dziewczyny, która ciągle od nowa przyciągała mnie do siebie, a gdy znalazłem się w jej bliskości, wprowadzała w moje zmysły magiczny zamęt.

Wmawiałem sobie, że gdyby raz tylko przywrzeć ustami do tych spragnionych warg, raz znaleźć się w objęciu tych delikatnych smukłych ramion, to urok zostałby odczyniony, a ja byłbym znów sobą.

Matka widziała, że przychodziłem i odchodziłem, ale nie zastanawiała się specjalnie nad moim stosunkiem do jej dziecka. Fakt, iż byłem zakochany, uważała za rzecz zwykłą i niegroźną przy usposobieniu córki, które znała nader dobrze i którego nie próbowała zmieniać, bowiem przy całej swej powierzchownej religijności uważała umiejętność świeckiego spekulowania za bardzo przydatną.

Jeśli chodziło o przyszłość córki, miała wyższe aspiracje, niż mógłby je zaspokoić skromny porucznik, ale po mnie spodziewała się, że przez swoje znajomości utworzą jej drogę do kręgów arystokracji. Wówczas, rozumowała, nie zabraknie hrabiowskiego, albo nawet morganatycznego kandydata na zięcia.

Na razie lato przekreśliło te rachuby, ponieważ „towarzystwo” rozproszyło się, powyjeżdżało na wieś. Również moje dwie panie, ku memu głębokiemu ubolewaniu, wynajęły willę w Tagernsee i teraz mogłem je odwiedzać tylko raz na siedem dni. Wprawdzie brak ich stałej obecności tak rozniecił płomień, że od soboty do soboty żyłem w gorączkowej niecierpliwości, a równocześnie w nieustannym lęku, że podczas każdego długiego oddalenia mógłby wcisnąć się do samotnych pań ktoś, kto odpowiadałby wymaganiom mamy, a i przez córkę nie byłby mniej niechętnie widziany od innych.

Obawy były zbędne. Niebo nagle tak groźnie pociemniało nad całym niemieckim światem, że przesłoniło wszystkie jednostkowe sprawy.

Wybuchła wojna francuska. Powitałem ją z radością również dlatego, że kładła kres mojej trudnej sytuacji, która była już nie do zniesienia. Z ogromnym trudem znalazłem jeszcze czas, by nocą, dosiadłszy konia, udać się z wizytą pożegnalną do Tagernsee. Wczesnym rankiem znalazłem ukochaną dziewczę w ogrodzie, albowiem nie oczekiwała mojego przybycia. Zażyła właśnie kąpieli w jeziorze; ranne powietrze owiewało jej jasną skórę i blond włosy, które niby miękki płaszcz opadały jej na ramiona. Usłyszawszy, co sprowadza mnie o tak niezwyklej porze, ani na moment nie zmieniła się na twarzy; spuściła tylko, powieki, chcąc jak gdyby za zasłoną ukryć to, co się w niej działo.

„A więc - powiedziała - spełni się najgorętsze pana życzenie. *Non piu andrai farfallon amoroso*, dokona pan cudów męstwa i wróci jako sławą okryty zwycięzca. Życzę panu szczęścia i będę codziennie o panu myślała”.

„Naprawdę, będzie pani? - zapytałem. - I to trochę serdeczniej niż o innych synach swych matek, którzy *pro patria* nadstawiają piersi pod kule francuskich kartaczy?”

„Jak pan może w to wątpić! - odparła i zerwawszy kwiat powąchała go z owym tęsknym wyrazem twarzy. - Przecież pan wie, że go bardzo lubię. Czyż nie okazywałam panu większego zaufania niż któremukolwiek z młodych ludzi? Nie wystarczy to panu?”

„Nie, Abigail - odpowiedziałem - wszak pani też doskonale wie dlaczego”. I po raz

pierwszy, a myśląc, że możliwe, iż po raz ostatni, w namiętym wzburzeniu otworzyłem przed nią swoje serce. „Wiem - powiedziałem na zakończenie - że pani nie odczuwa nic takiego. Grom, który raził moje serce, nie musnął ani jednego włosa na pani czole. Nie jestem też aż tak zaślepiony, by myśleć, że pani tylko z litości udaje cieplejsze uczucie po to, żeby wyruszającego w pole nie pozbawić zupełnie nadziei. Musiałem to kiedyś powiedzieć, by ulżyć sobie. A teraz zechce pani pokłonić się ode mnie matce, której nie chciałbym przeszkadzać w porannej toalecie, i proszę zachować mnie w życzliwej pamięci”.

Podniosła oczy i bardzo poważnie spojrzała mi w twarz, a jej policzki, zwykle pozbawione rumieńców, zabarwiły się lekko, co ogromnie przydało jej uroku.

„Nie - powiedziała - przecież tak nie może pan ode mnie odejść, Bóg wie, czy się jeszcze kiedy zobaczymy. Chcę panu na drogę coś wyznać: otóż jestem głęboko przekonana, że gdyby pan jeszcze przez kilka tygodni czy miesięcy był dla mnie tak miły i dobry, ów sople lodu przemieniłby się w zielony, kwitnący pęd winnej latorośli; znów wyraziłam to niezgrabnie, ale pan mnie rozumie. Może na zimnym biwaku, nocą, gdy nie będzie pan mógł zasnąć, pomyśli pan o tej wiosennej bajce i ogrzeje nią zziębnięte serce”.

Nie jestem w stanie opisać, jak czułem się po tych słowach. Bóg jeden wie, co wyjąkałem w nagłym zamęcie uczuć. Tyle tylko pamiętam, że domagałem się między innymi, abyśmy bezzwłocznie udali się do jej matki z prośbą o błogosławieństwo i tym samym przypieczętowali naszą wolę zaręczyn.

„Przykro mi, jeśli nie zadowala pana moje wyznanie - odpowiedziała na to chłodno - na razie jednak nie czuję się usposobiona do czegoś więcej”

Naprawdę powiedziała „usposobiona”, a była przy tym do szaleństwa powabna, choć zimna jak marmur.

„Gdybyśmy się zaręczyli, nie miałabym chwili spokoju, ciągle czułabym się jak Burgerowska Lenora. Bałabym się nie tylko bezustannej niepewności: ...czy jesteś mi wierny, Wilhelmie, czy może umarłeś?, lecz jeszcze czegoś znacznie gorszego. Jestem okropnie zabobonna, a raczej święcie wierzę, że owa ballada nie jest straszliwą baśnią, ale że tak czy owak historia ta istotnie się wydarzyła. Gdyby więc panu, drogi przyjacielu, przydarzyć się miała rzecz aż nadto ludzka, a miałby pan do mnie prawo jako do oficjalnie zaręczonej z panem narzeczonej, nie zasnąłabym już żadnej nocy i wiem na pewno, że jakaś zmora położyłaby kres memu godnemu pożałowania istnieniu. Zdajmy się zatem na zrządzenie losu i niechaj pan wyrusza w pole, a moje myśli będą panu towarzyszyły wszędzie”.

Powiedziane to było po to tylko, aby rozładować mój nastrój. Próbowałem wzruszyć ją i żartem, i na serio, by uzyskać od niej coś więcej, lecz na próżno. Nawet nie otrzymałem obietnicy, że będzie do mnie pisała, i w końcu z bardzo mieszanymi uczuciami musiałem ją opuścić. W uścisku, z którym bardziej się pogodziła, niżli nań odpowiedziała, nie wyczułem nic z prawdziwego, gorącego oddania, zaś od tak dawna upragnione usta, które dane mi było przelotnie musnąć, tak były chłodne, jak gdyby przed chwilą nie wypowiedziały wcale miłych, obiecujących słów.

Mniejsza o to; przybyłem jako nie mający nadziei wielbiciel, wyjeżdżałem jako szczęśliwy, aczkolwiek jeszcze nie zdeklarowany narzeczonej.

Szczęście nie było wprawdzie przesadnie wielkie. Polegało ono jedynie na tym, że we wszystkich wolnych od służby chwilach mogłem myśleć, jaka to nagroda zwycięstwa czeka mnie po zakończeniu wojny - wtedy jeszcze nie wiadomo było, jak długiej - przewidując, że ktoś poczuje się „usposobiony”, by nagrodzić moją miłość i wierność, ja zaś będę od czasu do czasu wysyłał do Tagernsee, a później do Monachium, zapewnienia o mej miłości i wierności obok doniesień z placu boju.

Odpowiedzi nigdy nie otrzymałem.

Początkowo mnie to nie martwiło. Czyż nie było w porządku, że młoda osoba nie pisała do młodego mężczyzny, z którym nie była formalnie zaręczona, czułych listów? A przecież

inne by mnie nie uszczęśliwiły.

Kto wie, czy purytańska mama, która i tak nie mogła pochwalać tego stosunku, nie wyraziła kategorycznie zakazu. Ale przecież wszystkie matki świata i wszystkie najmocniejsze zasady nie byłyby w stanie powstrzymać prawdziwie miłującego serca do przekazania odrobiny nadziei najdroższemu człowiekowi, przebywającemu daleko wśród niebezpieczeństw i dręczonemu tęsknotą. Jakże zazdrościłem liścików kolegom, gdy kryli się w cichych kątach, by im nikt nie przeszkadzał w delektowaniu się takimi „darami miłosierdzia”. Ja zawsze odchodziłem z kwitkiem, choć jeśli o mnie idzie, zatrudniałem pocztę częściej od owych szczęśliwców. Aż pewnego dnia poczułem się zawstydzony rolą altruisty. Postanowiłem, że jak długo sam nie dostanę dowodu pamięci, nie napiszę ani słowa. Bez względu na to, czy będzie uważała mnie za „...niewiernego, lub zmarłego”, powinna dowieść, że moje życie lub śmierć mają dla niej jakieś znaczenie.

Od chwili gdy to postanowiłem, upływały tygodnie, miesiące, a żaden list nie nadchodził. Państwo mylili by się jednak sądząc, że bardzo cierpiałem, iż całkowicie runęły wszystkie moje nadzieje. Odczuwałem raczej ulgę, zrozumiałwszy, że przez cały ten czas ulegałem iluzji szczęścia i miłości, gdyż w istocie wchodziły tu w grę jedynie zmysły, a może bardziej jeszcze dziwny upór, by w końcu zbliżyć się do tej nieprzystępnej istoty i stopić lody.

To, co się zdarzyło, było dla mnie zbawienną nauką, która przyszła w samą porę. Nie takiej kobiety potrzebowałem. Całe szczęście, że mogłem jeszcze ze spokojnym sumieniem wycofać się bez przeżywania tego, że ona ani na krok nie wyszła mi naprzeciw.

Tak upłynął rok, nie wymieniliśmy życzeń ani na Wielkanoc, ani na Boże Narodzenie. W lutym zostałem ranny i odtransportowany do Moguncji. Nie należy do tej opowieści historia o tym, jak w domu, w którym przez wiele tygodni doznawałem najtroskliwszej opieki, poznałem tę, która w następnym roku została moją żoną. Słowo, które przesądziło o naszym losie, nie zostało jeszcze przez nas wypowiedziane, wiedzieliśmy tylko, że znaleźliśmy siebie na całe życie, i właśnie wtedy, pewnego dnia, nadszedł list od Abigail, że dowiedziała się z gazety, iż zostałem ranny; pytała zatem, czy ma przyjechać wraz z matką, by mnie pielęgnować. Ani śladu narzeczęńskich uczuć, był to list, którego treść zawierała bezosobową propozycję, dyktowaną miłością bliźniego.

Może mama dyktowała ten list. Czy jednak córka musiała tak niewolniczo pisać pod dyktando?

Poprosiłem Helenę, której wtedy po raz pierwszy opowiedziałem o moim rozwiązany stosunku, aby w moim imieniu podziękowała za uprzejmą propozycję, dodając, że niczego mi nie trzeba i że mam doskonałą opiekę.

Był to ostatni znak życia, jaki otrzymałem od mego uwielbianego „bezlitosnego obrazu”. Ostatni, jaki jesienią roku 1871 wyszedł ode mnie - zawiadomienie o moich zaręczynach - wrócił z Monachium nie doręczony. Kiedy wkrótce po tym sam przyjechałem do domu, dowiedziałem się, że panie przed wkroczeniem zwycięskich oddziałów wyprowadziły się nie wiadomo dokąd; być może powróciły do swej posiadłości ziemskiej w Austrii.

W następnym roku dotarła do nas jednakże wieść, jakoby piękna Abigail też wstąpiła w związek małżeński z pewnym, bardzo posuniętym w latach, bogatym Niemcem z północy, którego poznała w uzdrowisku. Ów elegancki i cieszący się powszechnym szacunkiem człowiek był wielkim przyjacielem sztuki i właścicielem kolekcji dzieł malarstwa nowoczesnego, a przywłaszczył sobie piękną pannę chyba bardziej jako ozdobę galerii, żywe, plastyczne dzieło sztuki, był bowiem o trzydzieści pięć lat od niej starszy, a przy tym trapiły go ciężkie dolegliwości podagryczne.

Wydało się nikogo nie dziwić, że zimna ryba, jak nazywano Abigail, nie zastanawiała się długo nad wyrażeniem zgody na takie małżeństwo.

Od tego czasu już o niej nigdy nie słyszałem, nawet nazwa miejscowości, w której mieszkała, uleciała mi z pamięci, zapamiętałem tylko nazwisko: Windham. I oto teraz prze-

czytałem je w miejscowej gazecie, którą przeglądałem pobieżnie, niczego nie przeczuwając, i nie mogłem mieć wątpliwości: właściciel galerii obrazów, o którym, była tu mowa, był właśnie jej mężem.

Przywołałem kelnera i zapytałem, czy mógłby powiedzieć mi coś bliższego o właścicielu galerii i jego rodzinie. Nie wiedział więcej ponad to, że pan Windham zmarł przed kilkoma laty, a galerię zapisał w testamencie miastu. Nie umiał mi też powiedzieć, czy miał żonę. Może wiedziałby coś na ten temat gospodarz. Ów siedział jednakże w swym prywatnym pokoju z paroma przyjaciółmi przy skacie, a nie lubił, gdy mu przy tym przeszkadzano.

Ja też bym tego nie lubił, próbowałem więc wmówić sobie, że nie interesuje mnie wcale, czy wdowa, pani Abigail Windham, mieszka w tym mieście, czy też może powróciła wraz z matką na wieś. Czymże była teraz dla mnie ta moja dawna ukochana? Obrazem i imieniem. A może ów dawny obraz tak bardzo wyblakł w ciągu jedenastu lat i pociemniał, że oboje nie zyczylibyśmy sobie spotkania.

Niech mi wolno będzie wyznać, że ożyło we mnie, nie stłumione do końca, poczucie własnej winy.

W gruncie rzeczy cóż miałem jej do zarzucenia? Nie dotrzymała tego tylko, czego nigdy nie obiecywała i czego odmówiła jej natura. Kto wie, gdybym zaufał jej słowom i pozostawił wszystko przyszłości, być może wątle ziarno sympatii do mnie rzeczywiście rozwinęłoby się w końcu w krzew osypany kwieciami, wszak powoli otwierane serce miało nie mniejszą wartość od tego, które wybiera w ciągu jednej nocy. Nie, to była podła niestałość z mojej strony, tak nagle odwrócić się od niej. Zapewne, ale czy z nią byłbym tak szczęśliwy, jak z moją biedną Heleną. Jednak nie o to chodziło. Przysięgąłem jej wierność zbyt pochopnie, mimo to jako człowiek honoru obowiązany byłem nigdy jej nie opuszczać.

Podobne rozważania zaprzątały mnie niejednokrotnie w ciągu ostatnich lat, i zawsze starałem się odpierać je sofizmatami. Tamtego wieczoru ogarnęły mnie jednak z taką siłą, że siedziałem w winiarni w bardzo ponurym nastroju, czując na języku smak goryczy, której splukać nie mogło nawet szlachetne wino.

Zrobiło się późno. Gracze opuścili już lokal, tylko jedna partia szachów uparcie się przeciągała. W końcu wyszedłem i wtedy dopiero zauważyłem, że ciężkie wino i ciężkie myśli razem są ciężkostrawne. Głowa mi pałała, w okolicy serca czułem dokuczliwy ucisk. Poczuję się lepiej, gdy odetchnąłem miłym, nocnym powietrzem, ruszając w dobrze mi znaną drogę do zajazdu. Nie spotkałem żywej duszy poza nocnym stróżem, który, uzbrojony jeszcze w halabardę i latarnię, robił obchód po tym starym mieście - tak przynajmniej było wtedy. Latarnia była niepotrzebna, bowiem na dachach i ulicach leżało czarowne światło księżycy, oświetlając wypukłości ornamentów na starych wykuszach; nawet napisy na drzwiach domów widać było jak za dnia. Noc okazała się tak piękna, że nadłożyłem sporo drogi, nim zdecydowałem się wrócić do swego pokoju, który w ciągu dnia był nieco duszny. Prawdopodobnie pokojówka zostawiła okna szeroko otwarte. Tak dotarłem do hotelu. Drzwi wejściowe zastałem jeszcze uchylone, zaś portiera w kabinie pogrążonego w głębokim śnie. Nie chciałem zakłócać mu wypoczynku, zwłaszcza że klucz pozostawiłem w drzwiach. Drogę po schodach mogłem też w tym nikłym, gazowym świetle odnaleźć bez przewodnika. Czułem obezwładniające zmęczenie w całym ciele, miałem więc nadzieję, że solidnie się wyśpię. Kiedy jednak otworzyłem drzwi pokoju, ujrzałem coś, co w jednej chwili uwolniło mnie od sennego nastroju i zatrzymało w progu. Wydałem okrzyk zdziwienia.

Obydwa okna pokoju wychodziły na otwarty plac i wpuszczały do wnętrza jaskrawe światło księżycy. Tym ciemniej było w kącie tylnej części pokoju, gdzie stało łóżko i naprzeciwko niego, przy drugiej ścianie, sofa. Mimo to wyraźnie widziałem, że na sofie ktoś siedzi: czarno ubrana postać kobieca; jedyne, co było w niej jasne, to twarz, nieruchomo wynurzająca się z czarnego welonu. Jedną ręką podtrzymywała welon pod brodą, podczas gdy druga przyciskała do twarzy bukiet kwiatów. Musiała je wyjąć z wazonu, który stał na stoliku

przed sofą; kilka róż i gałązek jaśminu, które żona przyjaciela zerwała po obiedzie dla mnie w swym ogrodzie.

Gdy wszedłem, zawoalowana postać nawet nie drgnęła. Dopiero kiedy, zdobywając się na odwagę, podszedłem do stolika, niezdolny wypowiedzieć choćby słowa i nadal nie wierząc własnym oczom, obca kobieta podniosła głowę, przechyliła ją do tyłu aż na oparcie sofy; mimo ciemności nocy całkiem wyraźnie zobaczyłem dwoje dużych, utkwionych we mnie oczu.

„Abigail!”

Kobieta nadal siedziała bez ruchu. Wydawała się bynajmniej nie skrepowana miejscem i nocną godziną. Opuściła tylko na kolana rękę trzymającą kwiaty. Po chwili odezwała się, a głos ten zabrzmiał mi niesamowicie obco: „Naprawdę zna mnie pan jeszcze? Byłby zatem daremny ten trud, jaki pan sobie zadał, by o mnie zapomnieć? To przynosi panu zaszczyt. Widzę, że jednak właściwie oceniałam pana”.

„Abigail! - zawołałem znów. - Czy to możliwe? Pani tu? Jak pani weszła do mego pokoju o tak niezwykłej porze?”

Wzrok mój przywykł do półmroku; teraz wyraźnie już widziałem rys chłodu i czujności; który zmienił jej wyraz ust. Poza tym wydała mi się piękniejsza, niż zachowałem ją w pamięci, tylko bledsza, i brwi ściągnięte miała jakoś boleśnie.

„Jak tu przyszedłam? - odpowiedziała wolno, trochę ochryłym głosem, jak ktoś, kto żyjąc samotnie, często całymi dniami nie ma okazji do mówienia. - To bardzo proste. Usłyszałam, że przyjechał pan tu na krótko. Wiedziałam, że nie będzie pan starał się mnie odszukać. Musiałam się zatem zdecydować na przyjście do pana. Nikt naturalnie nie wskazywał mi drogi na górę. Na dole znalazłam na czarnej tablicy pańskie nazwisko, a obok numer pana pokoju. Pozwoliłam sobie rozgościć się tu i czekać. Teraz, gdy jestem tak samotna, mąż mój zmarł przed trzema laty, bardzo chciałam się przywitać ze starym przyjacielem. Wie pan, on *revient toujours!* Taki biedny *revenant* jest smutną postacią, ale jeśli zbrzydłam, pan nie powinien mi tego wypominać, ponieważ jest pan temu winien; ale nie będziemy teraz o tym mówili. Nie należy psuć miłej chwili spotkania wracaniem do przeszłości”.

Ciągle jeszcze nie wiedziałem, co powiedzieć. Było dla mnie zagadką, co powinienem z tym zrobić. Abigail, którą znałem tak dumną i powściągliwą, teraz o północy w moim cichym pokoju hotelowym jedynie po to, aby mnie zobaczyć!

„Tak tu ciemno - wyjąkałem w końcu. - Pozwoli pani, że zapalę światło”.

„Nie, proszę, nie! - wpadła mi w słowo. - Jest dość widno, abyśmy mogli widzieć swoje oczy, a więcej nie trzeba. Trzeba panu wiedzieć, że jestem próżna. Nie powinien pan widzieć na mojej twarzy śladów tych wielu lat, jakie upłynęły od czasu naszego ostatniego spotkania. Czas ten przeżyłam niezbyt wesoło. Gdyby pan mnie nie opuścił, byłabym może radosna, bo ten, kto się czuje szczęśliwy, nie starzeje się!”.

„Łaskawa pani!” wykrzyknąłem i chciałem jej powiedzieć, że wprawdzie nie czuję się bez winy, lecz w tym, co się stało, ona też ma swój udział. Nie dała mi jednak dojść do słowa.

„Proszę nazywać mnie jak dawniej, a nie „łaskawą panią” - powiedziała. - Jak długo żył mój mąż, musiałam godzić się na tę formę, która mi się jednak nie należała. Dla mego zacnego męża byłam jedynie siostrą miłosierdzia, a nie żoną. I pewnie jeszcze czymś: jego modelem, który ubóstwiał, do którego modlił się, którego piękność umiał niestrudzenie wychwalać. Początkowo sprawiało mi to przyjemność, wkrótce jednak stało się nudne. W końcu nieznośną pańszczyzną wydawało mi się i to, że rysował mnie w setkach póz i sytuacji. Cóż jednak miałam robić? Była to jego jedyna radość, której nie powinnam mu zakłócać; był to szlachetny i kochany człowiek, o wiele lepszy od pana. A jednak poczułam się jak gdyby uwolniona, kiedy wreszcie cierpienie położyło kres jego życiu”.

„Abigail! - powiedziałem - miło mi, że mam wreszcie sposobność zrzucić z serca to, co gnębiło mnie od tak dawna”. I powiedziałem jej wszystko: o smutku z powodu jej oziębłości, o złudnych nadziejach, że w ciągu długo trwającej kampanii wojennej spadną z jej serca

okowy, i o tym, jak w końcu zwątpiłem, że uda mi się kiedyś stopić lód w jej piersi.

„O - powiedziała z lekkim drzeniem w głosie - przedstawia pan to w nazbyt korzystnym dla siebie świetle, mój piękny panie. Gdyby pan rzeczywiście mnie kochał, nie wyczerpałaby się pańska cierpliwość, czekałby pan, aż ja, która wówczas z trudem zaczynałam sylabizować miłość, dobrnę w końcu do Z, skoro powiedziałam A. Jednak gdy tylko wyruszył pan w pole, przestałam dla pana istnieć”.

„Jak pani może tak mówić! Wszystkie listy, jakie do pani pisałem...”

„Nie otrzymałam ani jednego”.

Patrzyliśmy nie odrywając od siebie wzroku. Obojgu narzucała się jedna myśl, że matka przejmowała moje listy, ale żadnemu z nas nie przeszło to przez usta.

„No tak - powiedziała w końcu - cóż pomoże łamanie sobie głowy, a nawet serca tym, co przepadło. Pan znalazł zadowalające zastępstwo, a ja też mogłam trafić o wiele gorzej. W końcu i tak nie byliśmy nigdy ze sobą szczęśliwi. Powiem panu szczerze, że dotychczas jeszcze nie wiem, czy jestem zła, czy dobra. Może ani taka, ani taka. A może, jeśli natura obdarzyła kogoś szczególną urodą, to uczyniła dla niego tyle, że nie musi mu już dawać nic więcej na drogę życia. Mój mąż był entuzjastą sztuki i ode mnie też niczego więcej nie żądał. A pan... myślę, że panu szybko znudziłoby się podziwianie moich pięknych ramion i rąk”.

Z tymi słowy odrzuciła do tyłu czarny welon i na wpół leżąc w malowniczej, niesłychanie zachwycającej pozie, poważnym spojrzeniem powiodła po sobie. Bez próżności, lecz tak, jak się patrzy na obraz. Była w istocie jeszcze piękniejsza, bardziej dojrzała, białe ramiona stały się nieco krągłejsze; i teraz też miała wąskie ramiączka, które, gdy wydawało się, że zaraz opadną, spokojnie podsuwała w górę. Na lewym przedramieniu dostrzegłem znów te trzy małe blizny; zapragnąłem przywrzeć do nich ustami i poczuć na szyi dotyk tych dwu miękkich ramion-węży.

W końcu, gdy moje uważne, natarczywe spojrzenia stały się dla niej uciążliwe, zgarnęła na piersi fałdy welonu i wstała.

„Ten bukiet zabiorę na pamiątkę - powiedziała. - Wy macie o wiele piękniejsze kwiaty, i nawet pachną, czego naszym kwiatom brak”.

Wyjęła pęczek nieśmiertelników, które zdobiły głębokie wycięcie jej czarnej, aksamitnej sukni.

„Czy chce je pan? Również na pamiątkę? Dla kogóż, jeśli nie dla dobrego przyjaciela, miałabym się przystrajać? Tak dobrze nie dzieje mi się na co dzień”.

„Abigail! - zawołałem, całkiem już oczarowany, gdy tak stała przede mną w całej krasie swej urody przy oknie pełnym księżycowej poświaty, z jasnymi włosami, przeświecającymi przez welon. - Czy to ma być nasze ostatnie spotkanie? Jest pani znów wolna, i ja samotny jak pani, a to, że nie mogliśmy połączyć się wcześniej... zrozumieliśmy przecież, że nie było w tym naszej winy. Droga Abigail, czy mogłaby pani, czy możesz jeszcze teraz zdecydować się zostać moją żoną?”

Rzuciłem się ku niej, chcąc wziąć ją w ramiona. Ona jednakże postąpiła krok do tyłu i w geście obronnym wyciągnęła w moją stronę obie ręce.

„Nie, mój piękny panie! - powiedziała, a chłodny, drwiący wyraz, który dostrzegłem na jej białej twarzy, stłumił moje zapędy. - Nie popełniamy głupstwa. Przez pana nie dane mi było dowiedzieć się, jakie może być życie u boku kochanego człowieka. Tego nie da się odrobić. Zawsze porównywałby pan mnie z tą dobrą, drobną kobietą, którą uczynił pan tak szczęśliwą, a która była tak inna niż ja; czy może pan zaprzeczyć, że wierzy pan, iż żaden człowiek nie miał nigdy lepszej żony? No, a ja, czyżbym ja też miała wdychać, ażeby mój mąż był o trzydzieści lat młodszy, albowiem nikt już mnie tak nie będzie wielbił jak on? Zatem przekreśliśmy to, i koniec z jęczeniem i lamentami! Widzę jednak po panu, że jest pan teraz bardzo we mnie zakochany, dlaczegóż więc miałabym kazać panu umierać z tęsknoty? Jestem obecnie całkowicie niezależna i mogę rozporządzać sobą według własnej woli. Jeśli

raz zaprzepaściło się okazję do upicia się szczęściem, dlaczego gardzić sposobnością do zakosztowania go, do stworzenia sobie przynajmniej na krótko iluzji szczęścia, zwłaszcza w tak parną noc, kiedy biedna istota ludzka ma prawo pragnąć orzeźwienia?”

Nie mogę opisać, jak dziwnie podziałały na mnie jej słowa. Ta mieszanina melancholii i płochy, rezygnacji i zmysłowości tak była mi obca u tej niegdyś nieprzystępnej i chłodnej istoty, że aby odpowiedzieć jej, i to pewnie coś bardzo naiwnego, musiałem najpierw przez chwilę zbierać myśli.

Usłyszałem, że zaśmiała się cicho.

„Dziwi pana, że mimo purytańskiego wychowania jestem tak mało pruderyjna. Widzi pan, to z latami mija; coraz bardziej przeziara ów ciemny plan, z wściekłości i zgryzoty nad zmarnowanym życiem nawet czysta jak anioł kobieta mogłaby stać się diabolicą. Ale nie musi pan się obawiać, nie narzucam się panu. Powiedziałaś już przecież, że biedny *revenant* nie może żądać zbyt wiele. Zatem żegnam pana, i dobrej nocy!”

Jak gdyby pogodzona ze swym smutnym losem, wypowiedziała to tak przedziwnie stłumionym głosem, że moje serce znów żywiej dla niej zabiło. Wyciągnąłem ramię, aby przytulić ją do piersi, ale znów się cofnęła.

„Nie tu! - wyszeptała. - Co by pomyśleli o mnie ludzie w tym domu, gdybym jutro rankiem schodziła ze schodów! Niech mi pan towarzyszy do mojego domu, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał, i żadna wrona nie będzie krakała, jeśli zaproszę sobie gościa. Zgadza się pan? Wobec tego proszę iść, i nie traćmy czasu. Godziny mijają szybko, a wraz z nimi szczęście”.

Skierowała się ku drzwiom, a ja znów patrzyłem z zachwytem na jej lekkie, płynne ruchy, kiedy bezszelestnie szła po dywanie. Rozgorączkowany schodziłem za nią po schodach nie zamkniętego jeszcze domu, w którym wygaszono już światła. Na ulicy chciałem ją ująć pod ramię, ale bez słowa pokręciła przecząco głową i szła dalej spokojnie swoją drogą, i to tak blisko mnie, że gdy odwracała się, czułem jej chłodny oddech.

Ale nie zdarzało się to często. Przeważnie widziałem tylko jej profil. Znów na jej w półotwartych ustach dostrzegłem wyraz pragnienia; odrzuciła ku tyłowi głowę, włosy pod welonem opadły jej na ramiona, nagie ręce trzymała skrzyżowane na odsłoniętej piersi, narażonej na podmuchy nocnego wiatru.

„Nie jest ci zimno?” - zapytałem.

Potrząsnęła przecząco głową. Potem nagle obrzuciła mnie z ukosa baczny, podejrzliwym spojrzeniem.

„Krepujesz się iść ze mną przez ulice - powiedziała. - Ale nie martw się, nie skompromituję cię. Nawet jeśli nas ktoś spotka, nie pomyśli, że prowadzę cię teraz na schadzki miłosną. Cieszę się tu dobrą sławą, i nikt nie odważyłby się jej podważyć. Wiadomo, że mieszkam godnie w odosobnieniu i nie wpuszczam za próg mego domu mężczyzn, z wyjątkiem starego ogrodnika, który troszczy się o moje kwiaty. Nie wychodzę też w ogóle na powietrze, czegoż miałabym tam szukać? Dziś uczyniłam wyjątek dla ciebie, *on revient toujours à ses premières amours*; ale to już ci raz mówiłam. Tak, widzisz, człowiek staje się nudny, kiedy kocha, dlaczego tak jest? Nie potępisz mnie za to?”

W tej chwili nadszedł z przeciwka jakiś spóźniony przechodzień. Minął nas, jak gdyby widział tylko mnie, a nie piękną, dziwnie ubraną kobietę u mego boku, której wspaniałe ramiona dosyć wyraźnie przeświecały przez czarny welon. Usłyszałem jej cichy śmiech.

„Nie mówiłam ci? Ten stateczny pan był tak dyskretny dlatego, że nie chciał przyprawić mnie o zażenowanie. Jeśli o mnie chodzi, mógł sobie darować tę delikatność uczuć. Cóż mnie obchodzi opinia? Co to kogo obchodzi, że chcę uczynić coś dla starego przyjaciela, mimo iż wcale sobie na to nie zasłużył”.

Podczas gdy mówiła, szła naprzód tak szybko i bezszelestnie, jak gdyby stąpała nagimi stopami, że ledwie mogłem dotrzymać jej kroku. Tak dotarliśmy do bramy. Okolica była mi

obca. Kilka ubogich domów, prawdopodobnie zamieszkałych przez robotników, stało po prawej i lewej stronie pełnej kurzu i zarzuconej papierami drogi, aż wreszcie osiedle skończyło się. Księżyc skrył się za jasną warstwą chmur; silniejszy powiew wiatru zaszumił nad nami w wierzchołkach sosen.

„Czy już wkrótce będziemy na miejscu?” - zapytałem, albowiem jakieś osobliwe uczucie coraz bardziej uciskało mi pierś.

„Wkrótce! - odpowiedziała szeptem. - Widać już mury mego ogrodu, tam z lewej strony. Dom znajduje się wewnątrz. Może jesteś zmęczony? Chcesz zawrócić?”

Zamiast odpowiedzi próbowałem przyciągnąć ją do siebie. Odczuwałem palące pragnienie pocałowania jej w białą szyję. Jednak znów zrobiła unik i powiedziała: „Zaczekaj jeszcze! To, czego chcesz, dostaniesz niedługo. Oto już jesteśmy. Zdziwisz się, gdy zobaczysz, jak pięknie mieszkam”.

Staliśmy przed szeroką, żelazną bramą, zamykającą wejście do rozległego ogrodu, z którego widać było tylko prostą, ciągnącą się daleko aleję, utworzoną z cyprysowatych krzewów i drzewek tui, między którymi tu i ówdzie jaśniejszą plamą rysowała się jakaś marmurowa rzeźba. Na końcu alei wznosiła się piętrowa budowla o kopulastym dachu, zapewne willa. Wszystko spowijała jednak mgła, tak że z tej odległości nie można było nic dokładnie rozróżnić.

„Nie otworzysz bramy? - zapytałem. - Noc mija...”

„O, jeszcze jest dostatecznie długa - odpowiedziała cicho z nutą szyderstwa w głosie. - A ja zapomniałam zabrać ze sobą klucze. Co teraz zrobimy?”

„Przy bramie jest przecież dzwonek - odpowiedziałem. - Obudzi ogrodnika, choćby nawet spał”.

„Nie waż się pociągać za dzwonek! Nikt nie powinien wiedzieć, że cię tu zaprosiłam, a już najmniej ów stary człowiek. Pogardzałby mną i nie chciałby podlewać kwiatów. Nie trzeba nam nikogo. Jeśli tylko troszkę zadamy sobie trudu, uda się i tak”.

Mówiąc to, precyzyjnie się pomiędzy dwoma prętami kraty, i to tak lekko, jak gdyby była obłokiem, a nie kobietą o bujnych kształtach.

Stała teraz po drugiej stronie bramy w jasnym świetle księżyca i skinęła ku mnie głową.

„Kto mnie kocha, pójdzie za mną!” - zawołała, znów śmiejąc się złośliwie. Równocześnie cała jej dojrzała piękność zajaśniała przede mną pełnym blaskiem; myślałem, że z tęsknoty i niecierpliwości wyskoczę ze skóry.

„Nie igraj ze mną tak okrutnie! - zawołałem. - Widzisz przecież, że tą drogą nie mogę przyjść do ciebie. Zwabiłaś mnie tak daleko, dokończ zatem swego dobrego dzieła, przynieś klucz i pozwól mi wejść do środka”.

„Pewnie, to by się panu podobało! - szydziła spoza kraty, patrząc na mnie. - A jutro rano, gdy kur zapieje, odszedłby pan stąd i pozostawił mnie, samotną wdowę, bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Bo ja jestem tylko w nocy piękna. Nie wolno mi się pokazywać, kiedy świeci słońce. Nie, piękny panie, potrzebne mi było godne zaufania towarzystwo, bowiem cnotliwa kobieta niechętnie godzi się, by widziano ją o północy samą na ulicy. Teraz dziękuję za rycerską służbę i życzę panu majorowi, czy kim pan tam jest, szczęśliwej podróży”.

Zrobiła głęboki ukłon, a jej urocza postać była bardziej niż kiedykolwiek uwodzicielska, potem wolno odwróciła się i weszła w aleję.

„Abigail! - zawołałem, nie panując nad sobą - czy to możliwe?! Czyż możesz mnie tak nieludzko traktować, najpierw uchylać niebios, a potem spychać w otchłań szyderstwa? Jeżeli zaprzepaściłem sposobność, by móc nazywać cię moją, to nie odtrącaj mnie przynajmniej bez pocieszenia, daj zakosztować kropli miłości, bym mógł uskrzydlić nią moją spragnioną duszę. Tylko jeden pocałunek, Abigail, ale nie tak jak wtedy, kiedy usta twoje nie wyrażały porywu

serca, lecz tak, jak całuje się przyjaciela, któremu darowana została ciężka przewina”.

Przystanąła w miejscu i odwróciła się w moją stronę.

„Jeśli panu wystarczy tak niewiele. Abigail nie jest okrutna, choć życie okrutnie się z nią obeszło. Ponadto ja też może kiedyś miałam ochotę całować, czego przez całe życie właściwie nie zaznałam”.

Zawróciła i stanęła przy kracie. Wysunęła między przętami białe, gładkie ramiona i szybko przyciągnęła moją głowę do swej twarzy. Zobaczyłem blisko jej duże, szare oczy, lśniące chłodnym blaskiem, w których i teraz nie było ani miłości, ani nienawiści. Potem uczułem, jak usta jej przywierają do moich, i dziwny dreszcz na poły strachu, na poły błogości przeniknął mnie na wskroś. Usta miała zimne, ale jej oddech palił mnie; czułem, jak gdyby wysysała mi duszę z ciała. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma, brakło mi tchu, przerażony próbowałem uwolnić się, lecz jej chłodne, miękkie wargi mocno przywarły do moich ust; starałem się wyzwolić z uścisku jej ramion, lecz białe węże opasywały mój kark jak stalowe obręcze; gdzież się podziała siła moich ramion? Opadły bezsilnie, jak gdyby ów pocałunek pozbawił je szpiku. Na wpół omdlały, wisiałem na kracie jak biedny, cierpiący katusze grzesznik. Chciałem krzyczeć, lecz nie mogłem wydobyć z siebie dźwięku, myśli kłębiły mi się w głowie jak tonącemu w morskiej głębi, jeszcze chwila takiej męki, a byłbym zgubiony, lecz nagle w tę ponurą ciszę wtargnął trzask, jak gdyby strzelanie z bata, jej usta oderwały się od moich, spoza kraty dobiegł mnie dźwięczny śmiech. Straciłem przytomność, upadłem.

Kiedy wróciła mi świadomość, ujrzałem mego przyjaciela lekarza; klęczał koło mnie i esencją, którą przyniósł ze swej podręcznej apteczki, nacierał mi czoło i skronie.

Obok w alei stała jego bryczka; zrozumiałem, że wybawienie od upiora zawdzięczałem woźnicy, to on właśnie spłoszył go strzelając z bata.

„Czego, u diabła, szukałeś, przyjacielu, tu za miastem, koło cmentarza? - zawołał doktor, gdy orzeźwiony nieco, wspierając się na nim, mogłem już chwiejnym krokiem podejść do bryczki. - Drzysz na całym ciele, wargi ci krwawią, jeśli myślałeś, że po Wildbadzie odpowiednią kuracją będzie spanie tu przy tej nocnej wilgoci na zimnej ziemi, to jesteś w błędzie”.

Za nic na świecie nie wyznałbym mu prawdy.

„Mocne wino sprawiło, że o tak późnej porze spacerowałem, aż w końcu dotarłem tu do kraty, gdzie chciałem przez chwilę odpocząć - powiedziałem - potem niespodziewanie zakreśliło mi się w głowie i upadłem”.

Brzmiało to dosyć prawdopodobnie. Później, gdy uczynny przyjaciel pomógł mi dobrać do hotelowego łóżka, zapadłem w zdrowy, głęboki sen, podczas którego nikt nie musiał z obawą nade mną czuwać. Kiedy nazajutrz późnym rankiem wstałem, obudzony przybyciem doktora, nie pozostało ani śladu po owej niesamowitej nocnej wizycie.

Wcale jednak nie okazałem się tak dzielny, jak przystałoby na żołnierza i o co szanowni państwo mogliby mnie łaskawie posądzić. Gdy nadszedł wieczór - dzień spędziłem w pokoju na niespokojnych medytacjach - napisałem do przyjaciela bilet, zawiadamiając go, że dziś jeszcze muszę wyjechać nocnym pociągiem. I tym razem nie wyznałem prawdziwej przyczyny. Jakże mógłbym myśleć, że lekarz - sceptyk z zawodu - da wiarę mojej opowieści. Czyż nie powinienem się obawiać, że nawet wam, szanowni przyjaciele, wydam się albo dziwnym marzycielem, albo barwnie opowiadającym fantastą, który wysłał tę historię z palca, aby wykreślić się od dania fantu.

Zamilkliśmy wszyscy. Nawet panienska milczała przez chwilę, patrząc w sufit, na którym odbijało się okrągłe światło lampy. W końcu powiedziała:

- Jeśli mam być szczerą, ale nie chcę przez to psuć panu nastroju, drogi pułkowniku, to całą tę pańską historię z upiorem uważam tylko za twarde sen o wątkach niezwykle jasno powiązanych ze sobą. - Portier hotelu nie może służyć panu za świadka, albowiem podobno spał, gdy najpierw kobieta, a potem pan sam wchodził na schody. A w ogóle, jeżeli istotnie to wino zrodziło w pańskiej głowie tę całą historię, to i tym razem w winie byłaby prawda:

uczucie pana dla ukochanej, którą pan opuścił, i Nemezys, która objawiła się panu w tym przerażającym uścisku upiora.

- Byłem przygotowany na takie wytłumaczenie - powiedział pułkownik ze wzrokiem utkwionym przed siebie. - Co powie pani jednak o snach, które pozostawiają po sobie w rzeczywistości widoczne ślady? Kiedy rano podszedłem do stołu, stwierdziłem, że z wazonu zniknęły róże i jaśmin. Na sofie zaś leżał bukietek wyblakłych, zeschniętych nieśmiertelników.

Przekład *Halina Leonowicz*